



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Anstryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Dr ANTONI JÓZEF ROLLE.

Człowiek godny szacunku i zarazem pisarz zaśluga wyższej w literaturze naszej, D-r Antoni Józef Rolle, znany szerszej publiczności pod nazwą: D-r Antoni J., odszedł na odpoczynek wieczny w dniu 21 stycznia w Kamieńcu Podolskim, a jest to postać charakterystyczna człowieka silnej indywidualności, który nie daje się wykoleić okolicznościom życia i idzie za gwiazdą natchnienia swego, godząc rzeczy napozór sprzeczne. Lekarz z zawodu oddaje się badaniom historycznym i tworzy na tem tle rzeczy wartości wyższej, szkice, monografie, oparte na źródłach, więc wymagające pracy niemałej, niemałego trudu i ofiary czasu swego, a jest on przytem bardzo płodny. Nakładem warszawskiej księgarni Gebethnera, i Wolfa wyszły dzieła: „Zameczki na kresach oraz dziewięć seryi: Opowiadań“, „Sylwetek i szkiców historycznych i literackich“, pisanych żywo, ciepło, stylem szlachetnym, jak myśl, której to był wyraz, a wymagających pracy wielkiej, bo tworzonych na podstawie badań, poszukiwań mozolnych po bibliotekach prywatnych, po dyaryuszach archiwach rodzinnych.

Twórczość Rollego objawiła się najpierw w dziedzinie poezyi. Jak każda młodość szlachetna, czuł on tęsknotę za ideałem, która szuka sobie wyrazu w formie śpiewnej, kołyszącej myśl i uczucie; już jako student na uniwersytecie kijowskim tworzył w 1850 rymy, drukowane w warszawskiej *Gazecie Codziennej*, a następnie stał się obok tego korespondentem *Gazety Warszawskiej*, a korespondencye te, noszące tytuł: „Listy z nad Dniepru“ już wykazują talent wyższy, szkice zaś „Okoli-

ca naddniestrowa“, daje początek utworom, na podstawie studyów historycznych; ale stoion jeszcze jakoby u przełomu, bo pióro jego kreśli jednocześnie korespondencye, lekarskie i rozprawy z zakresu tej wiedzy. Wydaje dwutomowe dzieło „Choroby umysłowe“, wydaje gruby tom „Materiały do topografii lekarskiej okolicy podolskich“, ale zwolna daje się pociągnąć całkowicie temu natchnieniu, które go uczyniło znakomitym pisarzem na polu innem. Oddaje się badaniom na podstawie materiałów, które zdobywa sobie przez pracowite poszukiwania po bibliotekach, po archiwach starych rodzin magnackich, po dworach i dworkach szlacheckich, a pióro jego jest niezmiernie płodne, i przy pięknej formie belletrystycznej są to twory poważnego badacza dziejowego. Pierwsza jego książka wyższego już znaczenia wychodzi w 1869 r., obejmując trzytomowe dzieło: „Zameczki na kresach“, wykazujące już, że jest to badacz wyższego znaczenia w literaturze historycznej, i od tej pory pióro jego tworzy coraz-to nowe a zawsze cenne w tym zakresie rzeczy.

Opowiadania historyczne, sylwetki i szkice obejmują w dziewięciu seryach tomów kilkanaście, bardzo poczytnych, bo bardzo zajmujących a przy szlachetnie pięknej formie literackiej przedstawiają one czytelnikowi te obrazy wewnętrznego życia społeczeństwa, które odsłaniając motory czynów publicznych, stanowią podstawę tej nauki, jaką przeszłość powinna przedstawiać przyszłości. Kobieta musi tu zatem występować, bo jest to naczelniczka rodziny u ogniska domowego, i autor na podstawie sądu bezstronnego, bo sądu cudzoziemców, podróżników w wieku XVII pisze, że wpływ kobiety na mężczyznę był tu zbawienny, łagodzący obyczaje, uszlachetniający wewnętrzne życie rodzin. „Chylono czoło przed matką, wdowa mogła liczyć zawsze na poparcie“ a były to w ogóle dobre strażniczki godności i mienia rodzin: pracowite, gospodarne. Stanisławowa Lanckorońska a,

Siennicka z domu, wielka pani z rodu i mienia, zostawiła po sobie księgę rachunków gospodarskich, przechowaną w archiwach rodzinnych, foliał grubo, oprawny w skórę, gdzie zapisywała codziennie wszystkie sprawy gospodarskie, bo doglądała osobliście kuchni, spiżarni, obory, pasieki, a oprócz tego smażyła konfitury, wyrabiała sorbety na wzór tureckich, chociaż Lanckorońscy byli to wielcy panowie, a dodać trzeba, że wysoce dumni.

Ale przychodzi czas, w którym kobieta nasza ulega zmianie. D-r Antoni, jako wierny sprawozdawca przeszłości, musi ją malować taką, jaką była; lecz działo się tak głównie w sferze magnackiej, i tu lekkomyślność odbiera kobiecie powagę myśli; strójnisia nie może być dobrą matką rodziny; i w drugiej połowie osiemnastego wieku ukazuje się też broszura: „Myśli przy kominku“, pełna gorzkich wyrzutów, czynionych kobiecie, że przestała być tem, czem były dawne matrony nasze: „matki licznych rodzin, dźwigające obowiązki społeczne ze słodkim uśmiechem, z pogodą niezmaczoną, ciche, pracownice“.

Że przecież zaraza złego nie przeniknęła całego społeczeństwa, autor stawia jako dowód Maryannę Tarłową, z domu Ilińską, która obok 200.000 zł., co w owych czasach przedstawiało sumę niemałą, i kilku wiosek dziedzicznych, wniosła w dom męża szczęście i błogosławieństwo boże. Majątek męża był odłożony, a dzieci gromadka niemała, i choć nie wszystkie się wychowały, sześcioro z pośrednich wyrosło zdrowo, a że dom trzeba było utrzymać na stopie pańskiej, oddała się więc Tarłowa gospodarstwu z poświęceniem wielkim, prowadziła je niemal sama, bo doglądała i męskiego, dojeżdżała do dóbr swoich posagowych i „babskie gospodarstwo“ jak się wyrażano w owych czasach, podtrzymywało dom cały. A jak szło porządnie, z jakim ładem rozumnym, dowodzi księga prowadzo-

nych przez nią rachunków, z tytułem: „Raptularz M. Tarłowej” w której zapisywała wszystkie wydatki i dochody, wykazując, co wpłynęło za mleczywo, za sery masło, co dała ogrodnika: owoce, mak, anyż, cebula, ogórki. A była to córka pańskiego rodu, krwi karmazynowej, ale gospodarność pracowitą uważała za swój obowiązek i przy pomocy francuzki wyrabiała wszystko, co przemysł domowy owych czasów mógł wydać. Miała obok tego w apteczce swojej zasuszone zioła, leki rozmaite, sprowadzane z miasta, które mi leczyła lud wiejski i domowników, a dochody z jej gospodarstwa szły na zbytkowne fantazje męża, na procenta od jego kawalerskich długów, których spłacić nie mogła. Znaczny jej posag przepadł w tej otehlani, życie przeszło cicho wśród trosk i pracy bez skargi, bez uzaleń i zostało tylko wspomnienie kobiety szlachetnej, poświęconej obowiązkowi, które niejednej matce rodziny może przyjść z pomocą dobrego przykładu, krzepiąc wśród trudnych życia okoliczności, dając siłę i odwagę do pracy.

Sześć postaci niewiast z drugiej połowy XVI-go wieku w tomie grubym pod tytułem „Kobiety kresowe” stawia autor przed czytelnikiem. Są to wszystkie córki rodów karmazynowych, a między nimi zaznacza się szczególnie Teofila Chmielecka, żona senatora, człowieka w którego życie wplótł się dramat bolesny. Szlachetka to był, chudopacholek; wybił się po nad tłum siłą rozumu i woli niezłomnej, przyszła nań przecież chwila ciężka upadku ducha, zostawiająca na honorze jego plamę, co zapisały kroniki a Niesiecki do herbarza swego wciągnął. Kobieta żyjąca przy jego boku smutne, ciężkie musiała wieść istnienie. Że posiadała moc charakteru i silne poczucie obowiązku, dowodzi to, iż przy boku męża wiernie trwając, uczyniła mu się pociechą i podporą w opuszczeniu przez ludzi, choć pani zamożna mogła sobie rezydencją według woli i chęci własnej obrać.

Miłość ich łączyła. Oboje byli niezamożni; ona, szlachcianeczka niebogata. Dwóch synów z miłosną pieczołowitością chowając, domu gospodarstwa, starannie doglądając, miała przecież zawsze czas na to, aby być towarzyszką męża, życie mu uprzyjemniającą.

Dwie Chodkiewiczowe: jedna, Anna Aloiza z książąt Ostrogskich, druga, Zofia z Korabczewskich, przedstawiają szlachetny typ matki rodzinny na stanowisku wysokim, godności domu strzegąc a razem o zamożność jego gospodarstwo zabiegając. Zofia przeżyła większą część życia samotna, gdy mąż obowiązkami urzędów swoich związany daleko od domu przebywał, mienia rodziny pilnie strzegąc, lecz fortuna, choć wielka, obdłużoną była, i Zofia przebywać musiała bardzo ciężkie chwile, broniąc się od wywłaszczenia. Póki jeszcze mąż żył, choć go mało kiedy przy sercu mieć mogła, upajała się jego sławą, żyła oczekiwaniem chwili, która go jej wróci, aż nagle dostała wiadomość, aby na pogrzeb jego przybyła, i ona dziedziczka wielkiej, ale bardzo obdłużonej fortuny, spotkała się oko w oko z wyrokiem losu takim, że albo będzie jej trzeba z rodzinnych dóbr się wyzuć, albo na nich ciężko pracować. Nie namyślała się przecież ani chwili, choć wierzyć nie obiegła ją gromadą wielką, postanowiła całość fortuny zachować.

Pół trzecia roku samotnie żyjąc, nauczyła się stać o siłę własnej, więc już łatwiej jej było z losem się borykać i odważna a razem gruntownie rzeczy biorąca, wyuczyła się prawa tak, że ją sąsiedzi adwokatem w spółnicy nazywali i postanowiła to, co jej młodej i bezbronnej sposobem zajazdów zagrabiono, takim też sposobem odebrać; sześć tysięcy korpus wojska wyszyfrowawszy, stanęła osobiście na jego czele a pierwsza jej wyprawa była zwróconą na pokrewną jej Annę Chodkiewiczową. Do zamku szturm przypuściwszy, zdobyła go wraz z miasteczkiem, które tak jak izamek zrabowano, spalono, a nie było ostatni wybrzyk jej samowoli. Drugostronnie okazywała przecież tklliwość i dobroć niewieścią. Lud osiadły w jej dobrach błogosławił ją i matką nazywał, pustki zaludniały się osadnikami, którym budowała chaty wygodne, obszerne a przy nich wydzielala gruntu dostatek na ogrody, na pola orne i zbiegano się do niej tak, że działo się to nawet z pokrzywdzeniem praw

sąsiadów. Ona przecież nie dbała o to — nie dbała o nic, czemu słuszności nie zaweznawała, aż zatarci ztąd wynikiły zmusiły ją w końcu, aby zwróciła się po radę do krewnych, przyzwalała też brata zamieszkałego daleko, oraz wuja, Hieronima Chodkiewicza.

Człowiek to był już nie młody, poważny; ujrawszy wielki porządek, wielki ład w gospodarstwie siostrzenicy, powziął dla niej wielki szacunek, że przy zamożności znacznej, przy urodzie niepospolitej, tak się pracowicie obowiązkowi oddała, nie goniąc za rozrywkami. Była gładkiego lica, jako wtedy mówiono; oczy miała duże, piękne, z wyrazem jakiejś tęsknoty na świat patrzące, i on, wpatrzywszy się w nie, powziął dla siostrzenicy uczucie tklisze, niż przywiązywanie rodzinne, a ona, zmęczona już była tem życiem samotnem a pełnem przygód, pełnem niepokojów, więc przyjęła wyciągniętą ku sobie rękę poważnego, szanowanego ogólnie człowieka, ale nie było jej danem spokojnie, po niewieściemu być szczęśliwą. Owdowiała znów wkrótce i powróciła w strony rodzinne, przecież zmieniona wielce, utemperowana, czy przez wpływ męża, czy przez przykład kobiet, które poznała, a którym cywilizacja dała polor i układ inny. Nie przestała być przecież podawanemu zabiegliwą, gospodarną; majątek coraz się powiększał, dobra składały się z pięćdziesięciu czterech wsi dobrze zagospodarowanych; ale serce jej czuło pustkę dręczącą i zwróciła się do Boga, pragnąc ciszy, spokoju: zakupiła grunta obszerne, wzniosła na nich kościół obdarzyła go hojnie, i tu zamieszkawszy, cicho dokonała żywota.

(Dokończenie nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE

— „Przegląd Pedagogiczny” podniósł w pierwszym umrze swoim bieżącego roku, w artykule p. Amelii Sulickiej, ważną kwestyą: „Zabawy dzieci ubogich.” Dzieci te, mieszkające w ciasnych, przebudzonych izdebkach, używać mogą wesołej zabawy i swobodnego ruchu tylko na podwórzu, co, dodać trzeba, nie zawsze bywa im dozwolane, wybiegają też najczęściej na ulicę, lecz przebywanie tam nie przykładu się bynajmniej do wpływów wychowania dodatnich. Autorka artykułu dodaje też, że jeżeli kolonie letnie wzbudziły wśród publiczności naszej poczciwe zainteresowanie się zdrowym rozwojem fizycznego organizmu dzieci ubogich, rozwój moralny powinien tu mieć miejsce jeszcze. Dziecko, jako mały człowiek, potrzebuje zajęcia; jest to naturalny instynkt istoty ludzkiej, przeznaczonej do pracy, do jakiegoś ruchu myśli, to, zaś przedstawia w dzieciństwie zabawa, i właściciel gimnastycznego zakładu w mieście naszym, p. Olszewski, dokonał rzeczy pożytecznej, urządzając zbiorowe ćwiczenia gimnastyczne. Uzupełnione śpiewem i tańcem stałyby się one pożądaną pod wielu względami zabawą dzieci, uczęszczających do ochron i ogródków freblowskich, na które prowadzić-by je mogły panie dozorczyńnie. Opłata zapewne drogą-by nie była, a jak rozbudziłoby się w biedactwie małym życie, werwa wesoła!

— Francuzkie Tow. Lekarskie otrzymało od lekarza, D-r Napias, komunikat żądającym, aby Towarzystwo wprowadziło wpływem swoim naukę higieny do szkół elementarnych, co przecież przez zarząd szkolny przyjętem nie zostało, jako rzecz mało praktyczna, z powodu, iż dziatwa tak młoda nie zatrzyma lekcyi tych w pamięci. Przecież francuzki „Przegląd Pedagogiczny” myśl tę podjął radząc, aby przedmiotem dyktanda dla nauki ortografii były przepisy higieniczne, dwadzieścia, trzydzieści wierszy, jakie zwykle po przejrzeniu przez nauczyciela bywają na czysto przepisywane więc się treść ich w pamięci piszących dzieci utrwała. Osiem, dziesięć takich dyktand rocznie wystarczyłoby nie tylko, aby dzieci coś z pożytecz-

nych wiadomości w zakresie higieny otrzymały, ale nauczyłyby się rzeczy ważniejszej, a to dbałości o zdrowie. D-r Napias żądał również od dyrekcji wyższych szkół elementarnych dla dziewcząt, aby dziewczęta te odbywały w pewnych odstępach czasu dyżury w żłobkach, a nawet, aby żłobki te były do pewnego stopnia połączone ze wspomnianymi szkołami dziewcząt starszych. Nauka higieny powinna być połączona dla dziewcząt z nauką gospodarstwa domowego.

— W urzędzeniu francuzkich szkół normalnych zaszły pewne zmiany. Niedgdyś mieściły one wyłącznie pensjonarzy, obecnie przyjmują i przychodni, a to wskutek debatów nad tym przedmiotem, wśród których większość głosów podtrzymywała zasadę, że ze względu na moralne wyrobienie się człowieka najlepszem miejscem dla dziecka jest dom rodzinny, rodzinne otoczenie. Sama wiedza nie starczy mu w życiu: trzeba tu zarówno wykształcenia uczuć moralnych, poglądów na życie, które przede wszystkim może i powinna zaszcześcić rodzina. Znaczenie matki w wychowaniu podniósł właśnie w tym czasie Karol Vergé, pisarz pedagogiczny, wykazując stosunek uczucia do czynów człowieka.

— Dyrektorka jednej z takich normalnych szkół paryskich dla dziewcząt, wykazując we francuzkim „Przeglądzie Pedagogicznym”, znaczenie edukacyjne nauki literatury, pisze, że podnosi ona i rozszerza umysł, a odrywając myśl od realnych jedynie życia zajęć i celów, przedstawia fakta tego życia w znaczeniu ich moralnej wartości. Wyobraźnia nasza spotyka się z rozmaitemi obrazami czynów ludzkich i jeżeli będą one przedstawiały szlachetne piękno poświęcenia się dla drugich, mężnego wytrwania w obowiązku, umysł młody wzbogaci się wrażeniami podniosłymi, zgromadzi sobie skarby wiedzy o rzeczach dobrych, i jest to jego moralny majątek, który mu pozwoli nabyć dla życia to, co uczyni go szczęśliwym i dostojnym przez życia ideał szlachetny.

— Wyszedł w Paryżu wybór dzieł pisarki wyższego znaczenia, M-me de Staël, dokonany przez Pawła Jaquineta ze względu pedagogicznym na młode pokolenie, które powinno poznać wszystkich wyższych myślicieli swego społeczeństwa i ogrzać sobie ducha iskrą ich natchnienia. Chociaż autorka ta nie należała do rzędu pisarzy, poświęcających się wyłącznie moralnym na życie poglądom, jest tu przecież dane im miejsce bardzo znaczne i Jaquinet, kładąc nacisk szczególnie na tę stronę rzeczy, pisze w przedmowie, że młodzież powinna dzieła jej poznać, bo „woń poezyi wydziela się z każdego jej utworu, a większość jej myśli i poglądów jest tego rodzaju, że żyć będą nieśmiertelnie, jak wszystko co jest głębokie, co roznieca światło.” Takie pojęcie o książce dla młodzieży powinien mieć każdy pedagog, każda matka.

— W normalnych szkołach Wielkiej Brytanii, w Anglii, Szkocji i Irlandii, nakazaniem zostało przez ministerium oświecenia, poczynając od 1890 r., tworzenie zielników, co wydało skutki pożądane. Szczególniej zielniki szkół dziewcząt okazały się bardzo starannie i systematycznie ułożonemi; uczennice zajmowały się w czasie wakacyi tą pracą z wielkiem przejęciem, a wytworzyły to może bardzo pożyteczne zamiłowanie ogrodnictwa, co w stosunku do pracy kobiecej ma znaczenie niemałe, nie tylko jako gałąź pracy tej zyskowna. Zbliżenie się do natury podnosi nam zawsze ducha, bo daje pewną powagę myślom i odrywa je od pospolitych, drobnych zajęć codziennego życia, a szerokie są horyzonty, które przed myślą naszą otwierają.

— W Londynie wytworzyło się stowarzyszenie ludzi dobrej woli, kobiet i mężczyzn, z celem pomocy naukowej, świadczonej dzieciom uczęszczającym do szkółek elementarnych. Są to dzieci klas uboższych, mniej oświeconych i niemogących wpływać pomocniczo na naukę dziecka, więc stowarzyszenie, pragnąc rodziców tych zastąpić, postanowiło dzieci odwiedzać, dowiadywać się: jak im nauka idzie, czy nie zbywa im na potrzebnych książkach i materiałach piśmiennych? Znaczna liczba pań należących do stowarzyszenia uczyniła się korepetytorkami biednych malców: objaśnia ich jak należy się uczyć,

tlomaczy znaczenie rzeczy, których nie zrozumiało, zachęca do nauki, wykazując, że oświata jest nie tylko rzeczą potrzebną człowiekowi, ale obowiązkiem, skoro Bóg stworzył go inaczej, niżeli zwierzę. Na ostatnim zgromadzeniu Stowarzyszenia, w dniu kończącym rok ubiegły jeden z członków, Artur Chippedall, przemawiał w słowach następujących: „Nauka rozwija i uzaławia dobre skłonności człowieka, ponieważ wytwarza rozumny sąd o rzeczach i ustala wolę jego; nauczanie jest też najszlachetniejszą pracą ludzką, a osoba nauczająca powinna być otoczona przez społeczeństwo szacunkiem, na wdzięczności opartym. Poznanie, zrozumienie tego, co jest dobre, piękne, szlachetne, wytworzyć się może tylko w umyśle oświeconym, który pozwala nam patrzeć na życie z tego podnioslejszego punktu istnienia ludzkiego, nieprzystępnego dla osób pogrążonych w ciemnościach niewiedomości. Kto nauczył człowieka czytać, staje się jego dobroczyńcą; wszystko to, co wskutek tego przynieść może nauczonym wiedzą o życiu i warunkach jego, jest jakoby darem z nieba i niech Bóg błogosławi tych, którzy nauczają.

— Angielskie stowarzyszenie opieki nad dziećmi, których rodzice, pracujący poza domem na kawałek chleba, czuwać nad nimi w domu nie mogą, wzięło na siebie obowiązek odwiedzania tych dzieci w czasie, gdy pozostają samotni, i nauczania ich moralności, nie słowami, ale kierunkiem na dawanym postępowaniu, na przykład: jaką być powinna pieczołowitość starszych nad młodszymi, jak dzieci mają się stosować do rozkazów rodziców nieobecnym, jak powinny być grzeczni dla każdego, i choćby najędźniejszego żebraka. Opowiadanie powiastek zajmujących, a mieszczących w sobie zrozumiałe dla nich wskazówki dążeń ku celom życia szlachetnym, wyjaśnienie znaczenia pracy jest tu jednym ze środków. Stowarzyszenie liczy wiele kobiet, nawet dziewczynki dorastających, które pod opieką osób starszych przybywają tu tak pomagać dzieciom w nauce, jak i cywilizować je przez zabawy przyzwoite.

— Włoski pedagog Baccelli zwraca uwagę na to, aby porządek wychowawczy nie był zbyt rytmicznym, nie przechodził w nużącą jednostajność, która nudzi dziecko. Godziny pracy, godziny wstawania i kładzenia się spać godziny jedzenia powinny być oznaczone ze względu na ład i względy higieniczne, ale trzeba wprowadzać od czasu do czasu coś rozmaitości w życie młode i rozrywki w dzień świąteczny, spacer, dają do tego pole. Nie należy prowadzić zawsze dziecka do jednego ogrodu, w jedną stronę miasta czy wsi; istota młoda jest z natury ciekawa i instynkt jest to wrodzony, oparty na pragnieniu szerszej wiedzy życia, otaczającego dziecko świata; nie godzi się go też tłumić. Nauka to życia poglądowego, wymagająca, aby było coś rozmaitości wrażeń, nauka odzwierciadlająca to, co jako nowość przedstawi się obserwacyi myśli młodej. Trzeba dać dziecku coś swobody, nie prowadzić go jak niewolnika za rękę, bo zleniwieje umysłem, zatraci w sobie zdolność inicjatywy; zagaśnie w nim ten życia motor wielki, jak to dzieje się niemal zawsze z dziećmi zbyt pielęgnowanymi, trzymanymi zbyt krótko. Dziecko powinno czuć, że jest zależnym od woli rodziców, że samo nie umiałoby się rządzić dobrze, ale trzeba je zwolna emancypować i, na przykład, matką, którą idąc na spacer prowadzi dziecko za rękę, więc każe mu postępować krok w krok za sobą, gdy ono pragnęłoby pobiegać, wyrzeć ciekawie przed siebie, czyni mu krzywdę, bo taki spacer nie da mu się swobodnie rozpatrzyć wkoło siebie. Więc apatycznie spoglądać będzie na to, co się oczom jego przedstawia, a przecież trzeba dać młodości możność, aby naturalne jej instynkty mogły działać, bo jeśli tak nie będzie, natury słabsze zleniwieją, zgnusnieją, silniejsze zapragną się wyzwolić z pęt nazbyt ciasnych, a wtedy biada tak rodzicom, jak dzieciom, — ofiarom złe pojętego wychowania.

PIERWSZY WYSTĘP

NOWELLA

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

Górka wypełniła się maturzystami od S-tej Anny i ich przyjaciółmi; wszyscy niecierpliwie oczekiwali przybycia tego, który ich zwołał.

Wbiegł Józio.

— Jest, jest, — zawołano. Józio się skłonił, poprosił o głos, stanął na stołku i zaczął:

— Wielka nowina! Przyjeżdża do naszego grodu znana amantka z Warszawy.

— Niech żyje warszawska amantka! — zawołano.

— Przyjmiemy ją grzecznie — prawil, zapalając się Józio, — ale nie zapominać o talentach naszej sceny, o naszych artystkach, o naszej naiwnej, którą cenimy i lubimy.

— Przepadamy! przepadamy! — krzyczano.

— I na dowód naszej dla niej sympatii, idziemy dziś na parter, jak jeden mąż, aby jej zgotować owacy, jak na to zasługuje.

— Zgotujemy jej owacy, że aż stara buda trzeszczeć będzie.

— Delegujemy jednego do kupna biletów. Tym z kolegów, którzy nie mają drobnych — pożyczamy.

— Zgoda! zgoda.

Wybrano delegata, obliczono kolegów, zebrano pieniądze.

— Czterdziestu nas idzie — mówił Józio. — I jak na dany znak kłaśniemy w łapy i krzyknijmy: „bravo“, to, albo teatr się zawali, albo ludzie z niego uciekną z przerażenia.

— Uciekną! — wołano zuchwale.

Wysłany kolega powrócił z biletami. Rozebrano je w lot. O w pół do ósmej, zbici w zwartą kolumnę, zajęli parter i z minami dyktatorów oczekiwali przedstawienia.

Naiwna w drugiej zaraz scenie ukazała się widzom. Przyjął ją grzmiot oklasków, tak gwałtowny, że stanęła jak wryta.

Po długiej chwili oniemienia odegrała wybornie zdziwienie, zachwyt i wdzięczność. Kłaniała się, wznosząc oczy ku parterowi.

Oklaski nie ustawały, nie ustawały również i oznaki wdzięczności młodej artystki.

Wyczerpana i zmęczona, młodzież uspokoiła się, zrobiła się cisz, bieg sztuki i gry rozwijał się swobodnie. Podniecona przyjęciem, naiwna, w wybornym usposobieniu, starała się grać odwzajemniać za oklaski. Rozzbrajała niechętnych, porywała wszystkich.

Po spadnięciu kurtyny — wywoływania; od młodych głosów drżała sala. Niewiadomy wielbiciel naiwnej posłał jej przez orkiestrę bukiet. Owacya udała się, — naiwna zwyciężyła niewidzianego a zbliżającego się wroga w amantce warszawskiej.

Józio wpadł rozpromieniony za kulisy. Naiwna wyciągnęła do niego ręce.

— Dziękuję kochanemu panu, z całego serca dziękuję — szepnęła uradowana. — W tym grzmocie oklasków poznałam dźwięk pański. Dzielnym pan jesteś, panie Józio, pocziwy, kochany. Już się nie boję tej z Warszawy! Zbyt silnie wraził się mi dziś w pamięć publiczności, aby zapomniała o mnie dla jednej awanturki!...

— Nie zapomni — rzekł Józio. — My na to nie pozwolimy, my panujemy w teatrze.

— Wy, nikt tylko wy! Raczej pan ze swymi kolegami. Ty masz w swem ręku moją sławę i przyszłość. — Ścisnęła mu ręce, patrząc pieszczotliwie w oczy.

Józio uwierzył, że jest wyrocznią.

— Zatrzymałabym pana za kulisami, gdybyś nie był potrzebny tam. Cóżby robili kolledzy bez dowódcy? Idź i nie zapominać o serdecznie ko-

chającej was wszystkich naiwnej. Kolegów pozdrów odemnie. Do widzenia!

Józio wybiegł dumny i upojony.

— A może ona mnie kocha? — pomyślał. — A może ona mnie kocha? — zapytywał siebie. — Tak pieszczotliwie wpatrywała się w moje oczy. Tyle w jej wzroku było wdzięczności i głębi, że aż świdrował w sercu.

Wpadł do wielkiej, zadymionej papierosami izby, przeznaczonej na teatralne foyer. Zastał tam wszystkich kolegów. Otoczyli go.

— Kazała wam podziękować, wdzięczna jest, kocha młodzież, chwali nasz zapal do sztuki, i gdyby mogła, uściśkałaby was wszystkich.

— Niech ścisła po kolei, — wołano wśród śmiechów i radości.

Dzwonek dał znać o rozpoczęciu nowego aktu. Izba się opróżniła, parter wypełnił. Naiwna grała z zapalem i wdziękiem porywającym. Parter odwzajemniał się jej za te czary oklaskami i wzbuchami wesołości.

Po skończonem przedstawieniu młodzież czekała przed teatrem. Gdy się naiwna ukazała we drzwiach, przyjęli ją gorącymi okrzykami.

Wzruszona dziewczyna ukloniła się, przykładając rękę do serca, i pełna nieśmiałości i szczęścia uciekla z przyjaciółką, niknąc w cieniach noy.

— Zwycięstwo, — powtarzali rozmarzeni chłopcy. — My dajemy sławę artystkom, my z nich robimy wielkie i znane, — my je każemy tłumom kochać i podziwiać!

Józio nie poszedł do Roszkowskiego. Upojony wrażeniami dnia i zwycięstwem, zdenerwowany, pragnął ciszy i marzeń, wejścia w siebie, refleksyi. Rad był przy świetle księżyca, blasku gwiazd i czarownej noy letniej spojrzeć w głąb swej duszy i swego serca. Biegł pod zamek, milczący i roztrągniony. Przebyte wypadki tłoczyły się do jego mózgu beładnie. Raptownie stanął.

— Czego ja chcę na tym świecie, czemu mam być, co mam robić? Czy ona mnie kocha, czy ja ją kocham? Być, albo nie być? Być aktorem, albo nim nie być — kochać się, lub się nie kochać? Śliczną dziś była na scenie! Ach gdyby ja był bohaterskim amantem i gdyby oparła głowę swą na moich piersiach, a ja wobec tysiąca widzów tuliłbym ją do siebie i szeptał miłosne zaklęcia...

Odetchnął głęboko.

— Boże, Boże daj mi dożyć tej chwili, tej wielkiej chwili w mem życiu...

Szedł wolno z pochyloną głową.

Wzruszać massy, kazać im cierpieć, kochać, śmiać się lub płakać, panować nad nimi, w mózgach ich zapalać ucziwe myśli a w sercach wrażenia: to przecież rozkosz i milej, niż ślęczeć nad kodexem praw, czytać głupie skargi i głupsze wyroki wydawać.

Wzruszył pogardliwie ramionami.

Urzędnikiem nie będę — nie — nigdy! Marnować życia nie myślę. Lecz zkąd przyszedł ten gwałtowny apetyt zostać aktorem?

Staął, patrząc w ciemną przestrzeń.

— Alboż ja wiem? Alboż ja wiem, zkąd się tworzą myśli ludzkie, zkąd przychodzą namiętności, żyją i umierają.

Nie dawniej niż dwa dni temu kochałem się w wiejskiej dziewczynie, chciałem się z nią żenić, wdziawać sukmanę, cywilizować lud...

— Jagusi, moja śliczna Jagusi z białymi jak ser zębami, z uśmiechem wiosny, wesołością wiosny i zdrowiem wiosny, czemu ty jesteś w porównaniu z artystką dramatyczną — czemu?... Wiosną, naturą, prawdą, szczerością. Lecz coż gdy my nie umiemy odczuwać tej prawdy i szczerości, nie jesteśmy zdolni zachwycać się prawdziwą wiosną!

Westchnął.

— Głupcy jesteśmy — i dlatego ja porzuciłem Jagusię dla naiwnej!... Jagusia pokochałaby mnie szczerze i serdecznie, poswojemu. Naiwna?...

Naiwnej jestem potrzebny do zdobywania oklasków do kierowania dla niej parterem, do pobicia warszawskiej amantki — bo ja wiem, do czego jeszcze?...

— Nędzniku, mierz, nie spotwarzaj biednej dziewczyny a cynizmem nie kalaj własnych myśli i własnego serca!

— Ach, jak ona patrzała mi w oczy, szeptała: Zbawco mój, dziękuję ci!... Drżały jej ręce i wargi drżały, a w oczach świeciły ognie. Po promyku ognia tych oczu poszedłbym na koniec świata, na dno piekła. Jagusia inaczej patrzała: ciepło, szczerze, trochę głupio, gdy we wzroku naiwnej kapłała się cała jej dusza, pełna zachwytów, uniesień i świętego ognia natchnienia...

— Cywilizacya ma swoje prawa,—zawołał. Naiwna jest wiosna, lecz ucywilizowana, i dlatego...

Nie wiedząc dla czego, żal ścisnął mu serce. Powoli z oparów wiślanych wydobywała się Jagusia, blada i smutna.

— A nie mówiłam—szeptała—że panicz zapomni o wiejskiej dziewczynie?

Zmrużył oczy i zaczął uciekać przed widziałem własnej wyobraźni. Było mu smutno i ciężko. Biegł żywo, a mimo to Jagusia stała przed nim żałobna i smutna.

Przy kościółku Ś-go Idziego usłyszał odgłos kroków—oprzytomniał, odetchnął. Przechodziła warta złożona z trzech żołnierzy: poszedł za nią. Księżyc oblewał srebrnym tajemniczym światłem szeregi domów i krzewy plant ulicy Dytla. Zdało mu się, że idzie przez miasto uśpione czarami. Tylko odgłos kroków maszerujących żołnierzy rozlegał się.

— Jak tu cicho, sennie, a zarazem strasznie—pomyślał.—W lesie, gdy jestem sam, jest mi dobrze, rozkosznie, a wśród tych murów dreszcze strachu przechodzą. Mury wymagają ludzi, aby się ożywić, a las żyje sam własnym życiem—i dlatego ludzie mącą jego spokój.

Kontent był z tego określenia, zaczął się uważać za filozofa, dotarł do domu i jako rozmarzony filozof położył się spać.

*

*

*

Szybko nadszedł, choć długo oczekiwany, dzień przyjazdu do Krakowa bohaterskiej amantki.

Zawrzało za kulisami, namiętności trzymane na uwięzi wydobywały się szeptem i półsłówkami...

Bohaterka amantka stanęła na scenie, niechęć od razu przysła od promieni jej oczu, od uśmiechu i sympatycznego głosu.

Oczarowała po kolei wszystkich, zaczawszy od artystów, skończywszy na koleżankach.

Dama kameliowa, uosobienie kobiecości, wdzięku poświęcenia i miłości, była jak gdyby stworzona do jej charakteru i usposobienia. Temi właśnie zasobami swego talentu podbijała najupartych przeciwników.

W pierwszym dniu gościnnych występów,—a na godzinę przed ukazaniem się „Damy kameliowej”, na górze Roszkowskiego było tłumnie, ochoczo i wesoło. Odgrzano się warszawskiej amantce, nie uznawano jej talentu, a nawet prawa do gościnnych występów. Zgromadzona młodzież była zwolenniczką naiwnej, połowa z nich zakochana, gotowa na wszystko...

— Biada warszawskiej kokietce, romansownicy, intrygantce—wołano—my ją nauczymy rozumu i takie jej sprawimy przyjęcie, że ucieknie z Krakowa za dziesiątą granicę!

Józio, rozgorączkowany, patrzył świecącymi oczyma, słuchał i uśmiechał się triumfująco. Jego to było dzieło, on to przygotował grunt i rozdmuchał namiętności, a teraz patrzy na owoc swej sprawy i mileży...

Zaproszona na dzisiejszą uroczystość młodzież z ósmej klasy stawiała się w komplecie. Oczekiwano z niecierpliwością godziny otwarcia teatru...

Gdy podniesiono kurtynę, zrobiła się w teatrze uroczysta cisza. Nikt nie śmiał przerwać naprężonej uwagi, wszyscy słuchali, aby nie stracić ani jednego wyrazu, ani jednego ruchu z gry.

Weszła artystka, ubrana wytwornie, o układzie pełnym prostoty i gracy, piękna, zgrabna, zwyciężająca wzrokiem.

Łoże, krzesła, balkon i galerya przyjęły ją grzotem oklasków. Na parterze dał się słyszeć syk, lecz został zagłuszony, nie mogąc się przeдрzeć na scenę.

Młodzieńcy, stali onieśmieleni, zawstydzeni, milczący. Jeden tylko z nich, grubszej natury, miał odwagę sykać.

Gra się rozpoczęła, pochłaniając wzrok i myśli. Za wzrokiem poszła dusza i serce młodzieży. Artystka i autor podali sobie ręce, aby ją opłnować, okiełznać i zwyciężyć.

Po pierwszym akcie parter milczał, również milczał oczarowany Józio; po drugim serdeczniej usposobieni zaczęli klaskać, po trzecim wywoływali już gwałtownie.

Wzburzone młode umysły, porwane siłą wielkiego talentu, weszły jak przypływające morze. W czwartym akcie zapal doszedł do zenitu, do szafu...

Po spadnięciu kurtyny młodzież wysypała się na ulicę, gromadząc się u wyjścia z teatru. Stali rozgorączkowani, oczekując na pojawienie się artystki.

Powóz zajechał, wyszła. Tajony entuzjazm wybuchł gwałtownie. Jedni otoczyli młodą dziewczynę, cisnąc się do całowania jej rąk i szat, drudzy rzucili się do koni. Chcieli je odprzeżyć, lecz wóznica nieznacznie postraszył je batem. Spłoszone, zaczęły się niepokoić, utrudniając przystęp do siebie.

Józio, rozpychając tłum, dotarł do powozu, usiadł na stopniu i, całując bobaterkę po kolanach i rękach, powtarzał zachwycony:

— Moja pani, moja droga pani, jedyna kochana, wielka! O Boże, jak my cię kochamy!... Wzruszenie było wielkie, hałas, wykrzykniki, zakłęcia mieszały się z sobą.

Przez tłum przepychał się dorodny, wysoki, silnie zbudowany mężczyzna; wskoczył na kozioł powozu, wóznica ściągnął lejce. bat podniósł konie dęba stanęły, młodzież odskoczyła, pojazd ruszył. Bohaterka powiewała białą chusteczką, młodzież żegnała ją podniesionymi w górę kapeluszami i okrzykami na jej cześć.

Powóz zniknął na załame ulicy, młodzież spojrziała na siebie, oprzytomniając powoli.

— Zdradziliśmy naiwną—odezwał się głos z tłumy.

— To raczej ona sama siebie zdradziła i w dodatku chciała z nas zrobić dudków i błaznów.

— Aleśmy się nie dali wziąć na kawał...

— Co nie, to nie zawołano chórem.

— Cóż ty na to, Józio?—pytali zamyślonego chłopca kolledzy.

— Co ja na to?—odparł spokojnie.—Ja to, moi drodzy, że nie miałem pojęcia do jakich szczytów może dojść talent.

— Prawda, prawda,—poświadczyli.

— Odwrót do Roszkowskiego!—zakommenderował barczysty chłopiec.—W zwartych szeregach, środkiem ulicy, naprzód!...

Na górze, w świetle gazowem, w obłokach dymu przy ponczu, toczyły się dalej rozprawy o grze bohaterskiej amantki, jej piękności i uroku.

Józio siedział zadumany, pijąc trzecią szklankę. Krew biła mu do głowy, oczy fosforycznie świeciły, uśmiechał się głupkowato, był zły, lecz zarazem bezsilny, chciał mówić, deklamować—nie mógł. Patrzył ponuro i groźnie, mrucząc urywane zdania.

Po północy wysunął się niepostrzeżenie na ulicę. Przebiegł rynek, stanął przed kościołem Panny Maryi, zdjął kapelusz i zawołał:

— Przysięgam, że zostanę artystą; życie moje oddane sztuce; będę przemawiał do zimnych serc i kruszył je. Głupców będę uczył rozumu, obojętnych wzruszał, niekczemników nawracał, a szlachetnych utwierdzał w świętym zapale miłości. Przysięgam—powtarzał ze czcią—Niema ofiary którejbym dla sztuki nie zrobił.

Zjadaczem chleba nie będę i dla chleba tylko nie będę żył. Naprzód, naprzód! Czuję święty zapal w sercu i rozkosz na samą myśl przemawiania do tłumów słowami naszych wielkich poetów.

„Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty
Usycham z żalu, umieram z tęsknoty.“

Sztuko, ty jesteś moim złotym snem, czarem myśli, jutrzeńką pragnień! Przez ciebie zdobędę sławę. Ty jesteś moją gwiazdą; po promieniach twego światła dojdę do źródeł sztuki. Ty mnie uczynisz wielkim i natchnionym!...

Piękna warszawianko, kapłanko sztuki, tyś mnie rzuciła w objęcia tej boskiej kochanki i kocham cię za to.

Co ona robi w tej chwili? Marzy rozkosznie o sławie, we śnie widzi tysiące serc rozrzuconych i tysiące łez świecących w oczach obojętnych ludzi. Wycisnęła je, anioł zebrał w kielich i uniósł przed tron Pana jako najczystszy dowód tęsknoty nad niebem, najszlachetniejszą oznakę uczuć ludzkich.

W chwili, gdy tak marzył młody chłopak, kapłanka sztuki, otoczona wykwiutą młodzieżą, wznosiła w górę kielich szampa i nucąc bachusową piosnkę, wychyliła go od razu, do ostatniej kropli.

Ostatnią zwrotkę piosenki powtórzono chórem przy brzęku kieliszków.

Młody chłopak, oczarowany, marzył rozkosznie o pięknej artystce, jako pięknej kapłance sztuki. Młody był, naiwny i swą naiwnością szczęśliwy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXXIX.

Myszy bez kota, krotowhwa *Jordana*, w 3-ach aktach—Teatr Mały d. 27-go Stycznia.—Wycieczka z przeszłości, krotowhwa w 3-ach aktach, *Edwarda Lubowskiego*.—Teatr Rozmaitości, d. 31-go Stycznia.

Po dwóch już sztukach wesołych przyszły dwie drugie. Autor *Wędrowek delegata*, pierwszorzędnny splotrzączacz a jedyny i poczytny pisarz, dał Teatrowi Małemu utwór znowu osnuty na tem życiu wiejskiem, z którego tak przepyszne obrazki nieraz nożycami satyry wykrawać umiał. P. Utracki, dziedzic Utrackiej Woli, traci ją do reszty za granicą. Myszy, nie czując kota, każda na swoim stanowisku, starają się ze swobody skorzystać: ten więcej bierze niż oddaje; ów zapisuje fałszywe prowenty do rejestrow; tamten znowu wytargowuje sobie względności i ustępstwa—wszyscy kradną i każdy się bawi, a nad wszystkimi góruje rządca Korczykiewicz, zbijający grosze na pańskim. Ma on żonę Brygidę, straszliwą babę, której się lęka, i córkę Wiktorję, którą zamaż jako pannę posażną chce wydać. Pali do niej koperczaki miejscowy pisarz prowentowy, wspólnik Korczykiewicza w złodziejstwie, opój, leń i świszczypała, i jego to właśnie upatrzył sobie tatko na zięcia i wyznaczył już dzień zaręczyn w akcie I.

Ale Szkopek, pachciarz miejscowy, drugi wspólnik rządcy, przez niechęć ku niemu, a życzliwość dla mleczarki, która mu w miasteczku nabiła zbywa, szepnął tylko słówko, i pan pisarz, zrywając pod pozorem nieotrzymania jeszcze odpowiedzi od swego wujaszka-opiekuna, Kominkiewicza,—od razu leci na lep wdowich wdzieków i wdowich kamienie. Ojciec panny daje się ugłaskać tem łatwiej, że mu córka przyznaje się do niekochania pisarza, tając jednak, że kocha, choć tylko zlekka, ogrodnika, Sałacińskiego. Córka bierze na siebie ugłaskanie matki. Układają się zatem stosunki moralne; ale co zrobić ze stosunkami gastronomicznymi? z traktamentem sutym, na który rodzice sprosili już tyle znakomitych gości? Co zrobić z honorem domu? Mniej będzie wstydu, im więcej będzie spożytych darów bożych; przytem komedia mogłaby się urwać w samym początku.

Pani Agata tedy, czując się panią tam, gdzie mężowi bezkarnie kraść wolno, zaprasza towarzystwo do pałacu p. Utrackiego. Idą tam, jedzą, piją i palą mówki siersziste, pod przewodem Ko-

minkiewicz; mężczyźni się spijają, z trzewiczka pani Brygidy wychylają toasty; kobiety starsze krzyczą, młodsze im pomagają; niedoszła narzeczona romansuje leciuchno z Sałacińskim, przyszyłym swym mężem.

Nagle zjawia się jak duch sam dziedzic. Wszystko co żyje, o ile nie śpi, pryska na wsze strony. Kończy się jedna komedia, zaczyna druga. Nazwisko Utrackiego odpowiada jego treści. W 35 latach wieku swego miał pan dziedzic czas utracić wszystko: majątek, zdrowie, rozpęd do życia; jest ruiną, około której obwijają się jeszcze zielone bluszeze uczciwości, serdecznej dobroci i uprzejmości dla ludzi. Jest to zupełnie postać do komedii poważnej i taką też komedią daje nam Jordan od połowy aktu II, oczywiście bez odpowiedniej architektiki tak wewnętrznej, jak zewnętrznej, — psychologicznej i ściśle już estetycznej.

Tu znowu Szkopek, figura najwięcej do roboty w sztuce mająca, jest główną spęzyną akcyi. Najpierw otwiera oczy letkiewiczowi na złodziejstwa rządzący i całej służby, potem podaje mu na lekarstwo od nędzy wdowę, tę samą wdowę, którą był obdarzył przedtem pisarza prowentowego. Wujaszek tej Serwackiej jest wielkim lubownikiem rybołówstwa: zbadał już pierwszej stawy Utrackiej Woli, zanim z siostrzenicą swoją do niej zawitał. Wdowa kupi majątek a wraz z majątkiem kupi i dziedzica. Szkopek będzie miał za pośrednictwo dobry procent, o który napróżno targował się z pisarzem Kwarciem, — będzie też miał przy Utrackim i zarobki: niech tylko Wola z utraconej stanie się odzyskana.

Na moralnej nędzy skleconego przez Szmula małżeństwa kończy się sztuka. Wzbogaca ją autor szczegółami takimi, jak: przygotowania do wypraw krasomówczych miejscowego organisty Klawiszewskiego i ogrodnika, i sprzeczki pomiędzy nimi; zjawienie się owego wuja pisarzowego, który o niczem nie wie, ale na obiedzie zostaje, jako *arte* wywiązujący się z zadania żarłok i krzykacz; buńczuczność złodzieja Korzykiewicza, nakładającego kapelusza na głowę wobec Utrackiego; później deputacja jego córki do dziedzica o łaskę; przeproszenie Utrackiego przez pijaków; łapanie się obu rybek na wędkę Szmulową i wzajemne o siebie zahaczanie. Są w sztuce koncepta, ale jest i dowcip i humor, a cała postać Szmula, życiem właściwym palająca, dobrze się Jordanowi udało. Od uciężniejszego dla całości odbija się z poważnym wdziękiem istic piękna scena między zruinowanym szlachcicem a organistą, który niegdyś był jego ochmistrem, a w prawości swojej przechował i swoje dla niego uczucie.

Sluchacze wybornie się bawili, i nie mogło być inaczej. — Gdyby role Utrackiego i wdowy były lepiej grane, — publiczność miałaby większą jeszcze uciechę.

Wycieczka z przeszkodami przeznaczona jest do ubawienia publiczności; autor dał jej sygnaturę krotoczwili. Mnóstwo jest w teatrze francuskim, całych sztuk, aktów i scen całych, w których mężowie korzystają z przypadkowej swobody lub też zdobywają sobie umysłną, aby za oczami swych żon oszukiwać je na grubym kamieniu. Lubowski, mający już wcale dobrą w danym rodzaju tradycją własną w *Przyjaciółce żon*, postanowił napisać sztukę, gdzieby to ulubione oszustwo wesołej muzy francuskiej było tematem głównym, i nietylko głównym, ale wyłącznym.

Temat ten rozprowadził autor *Nietoperzy i Jacusia* w 3 akty. W pierwszym zjawiają się dwaj żonkosie na znaczne swoje połowice. Z pomocą lekarza staje intryga figlarna, pozwalająca obu nieponiom, Jabłkowskiemu i Mielickiemu, wyrwać się z pod jarzma małżeńskiego za granicę nad morze, w asystencji dwóch przyjaciół, które rekomendują się słuchaczowi parą pantofli i listami pisanymi straszliwą ortografią i straszniejszą jeszcze stylizacją. Jeżeli odwaga jest połową zasługi, to tej połowy autorowi odmówić nie można. Wprowadzenie Żanci i Frani, wypchnięcie ich z niewiernymi małżonkami za granicę i trzymanie przez dwa akty na scenie w naszych pohulankach jest mało jeszcze dotychczas stosowaną nowością.

Obie pary osiadają, nie w Ostendzie, zbyt huczej i na widoku będącej, ale w jakiejś pobliz-

kiej zacisznej miejscowości, gdzie i morza więcej i zaduchu mniej, a kryjówka przed żonami bezpieczniejsza. Obie towarzyski podróży nie mogą się jakoś wprawić w role żon, tak potrzebne dla obu podróżników. Panie nudzą się, wzdychają do Ostendy, gdzie są magazyny mód, jubilerzy, stroje, muzyka, wielki świat; panom bardzo dobrze jest i w nadmorskiem zaciszu. Obyczaje pań są nieortograficzne, jak ich listy; przychodzi do kłótni, z której natrząsają się lokaje restauracyjni. Dzieje się rzecz jeszcze gorsza. W liczbie gości kąpielowych znaleźli się i dwaj galileusze, bezzenni, Faraniewicz i Burzymowicz, mający dużo czasu, trochę młodości, a rzadką sposobność do korzystania z jej darów. Żądza ubawienia się musiała być w tych panach bardzo silną, skoro na widok kobiet uchodzących za żony rzucają się obcesowo, i w kilkanaście minut po poznaniu idą już z niemi na przechadzkę — nie domyślając się nawet, że taka pochopność ze strony prawdziwych żon nie byłaby w żadnym razie możliwą. Oni jednak całują te damy po rączkach, nazywają je „dobrodziejkami“, są z całą dla nich atencją.

Byłby to motyw komiczny, gdyby go był autor opracował komicznie, oryginalnie, z humorem i satyrą, jakiej napraszała się mężka głupota. W sztuce Lubowskiego ten stosunek bąków do koników polnych ciągnie się, wlece, przesnuwa i przewija przez całe dwa akty, nie wywołując wszakże ani na jedną nawet chwilę komizmu, zdolnego szczerze rozśmieszyć. Nic się w tej sztuce nie dzieje; ciągle się tylko coś miga przed oczyma. Zamiast psychologicznego wyzyskania sytuacji, których jest więcej, niż miąższu potrzebnego dla charakterów, puszcza się Lubowski na antytezę: gdy w pogoni za mężami przybywają żony, owi kandydaci do posad miłości nie chcą uwierzyć w ich stan cywilny i jak tam pochopnie, nie patrząc nawet na pozory, przyznali obywatelską kwalifikacją wyższą, tak tu gwałtownie przy niższej się upierają. Przychodzi już do gniewów poważnych, do groźb, pojedynków, listów i wyzwania.

Mogłaby i tu osadzić się rzetelna krotoczwila; ale Lubowski znowu jej nie chciał — pociągany urokiem czegoś, co za lepsze uważał, a czego widz pochwycić w żaden sposób nie zdoła. Widać, albo nie miał Lubowski szczęścia do muzy komicznej, albo też nie umiał go poszukać. W całej sztuce jest tak mało ruchu wywołującego wesołość, tyle jest, w formach niby uciężnych, bezbarwnej powagi, — że najchętniej nawet i najczliwiej słuchając, nie podobna się dosłuchać niczego, coby prawdziwie zajęło.

Sztuka kończy się tem, że owi galileusze odstępują od pojedynku, poznają swój błąd, przepraszają żony, a z owemi „paniami dobrodziejkami“ wyjeżdżają do Ostendy. Oszukane żony, nie dowiedziawszy się prawdy, zabierają panów mężów pod swe słodkie jarzma. Przyszło im to z łatwością, jaką sztuka zapewnia swym — męczennikom. W krotoczwili Lubowskiego jedne kobiety ani razu nie spotykają się z drugimi, a żony nie dowiadują się o istnieniu nie-żon. Gdy w końcu aktu II sytuacja sama woła o żony, autor zapuszcza kurtynę; gdy w akcie III sytuacja również sama domaga się radości w mężach z pozbycia się ballastu pozamałżeńskiego, autor wikła ich w kłopoty, które byłyby zupełnie zbytecznymi, gdyby mężki rozsądek, egoizm i instynkt zachowawczy stanął był po stronie mężkiej lekkości i przewrotności, a małżeńskiego teńorowstwa.

Nie poczuwałem się nigdy do szczegółniejszego obowiazku ubolewania nad tem, gdy jakie dziecię wesołej muzy przyszło na świat z koszlawa nogą, lub wywiehniętą ręką, — albo całkiem nieżywe. Nie jest to nigdy potomstwo do trwałego życia przeznaczone. Żaden autor, który rzeczywiście coś zrobił, do takich drobiazgów, — choćby pięcio-aktowych, ale zawsze: drobiazgów — nie będzie przywiązywał wagi: nie potrzebuje też ciężko ważyć ich i krytyka. Są wszakże względy nakazujące nieudanie się *Wycieczki* odczuwać jako rzeczywistą przykrość. Dużo sztuk oryginalnych w ostatnich czasach nie ziściło pokładanych nadziei.

Gwałtownie potrzebujemy nowego talentu. A najpożądanejszym i najdzielniejszym byłoby to, ku czemu już na Zachodzie zwracają się znużone umysły i stęsknione serca: nowy powiew poezyi. Sztuka nasza albo ugrzęźnie jeszcze głębiej — albo, jeśli się podniesie, to przez poetyczną syntezę. Analiza daje siłę, ale daje i niemoc; potężniejsza od niej nauka, ale sznied od niej sztuka. Błogosławioną będzie chwila, w której twórczość dostanie się pod rząd bezwzględny, nieprzeparowanego uczucia: odrodzi ono sztukę — ale nie krotoczwilną.

Możnaby lepiej zagrać *Wycieczkę*, ale i najlepsza gra nie zmieniłaby wykładnika jej wartości. P. Rapacki, jako Jabłkowski, był zanadto poważnym; obie żony również. Wszystkim przydałoby się więcej żywości, a całej krotoczwili żywsze tempo. Szczegóły pomijam; rozbiór gry w *Wycieczce* nie byłby zadaniem dość wdzięcznym. Aktorowie, pomimo wyrażonego tu *desideratum*, nie tylko nie krzywdzili autora, ale mu nawet szczerze dopomagali do celu — zabawienia publiczności — robiąc co można.

Stanisław Krzemiński.

JULIUSZ SŁOWACKI W EGIPCIE.

(27 Września 1836 — 2 Stycznia 1837)

przez

Ferdynanda Hösicka.

(Dalszy ciąg).

Oto, jak tę część podróży opisuje Słowacki matee: „Śliczna podróż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnóstwo żoraw, lecących po błękitie, mnóstwo innych ptaków wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki w ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy, wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na górach, nareszcie przy Siut—13-go Listopada — pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla którego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliżka przypatrzeć: wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny“. Istotnie, bywały chwile, w których mimowoli trzeba było sobie zadawać pytanie: czy to aby rzeczywistość, czy to przypadkiem nie jakiś sen rozkoszny, wywołany zażyciem haszyszu? Ta „szarfa Nilu“, tocząca swe gładkie, spokojne, a chciałoby się rzec, turkusowe, wody pośrodku najwspanialszych krajobrazów egzotycznych; to „niebo w słonecznej pogodzie“, które o południu zdawało się zniżać i drgać... skwarem; te nieprzejrane wydmy piaszczyste, na których żorawie i bociany „krzyczącemi stadami“ siadały nieopodal rzeki, i na których tak przyjemnie było chodzić z fuzją w rękę i strzelać wodne ptactwo; te wesołe popasy w cieniu namiotu, przy rozpalonym ognisku, na którym pieczono świeżo ubite gołębie; te rozmarzające noce wschodnie, przy „księżycu późno wschodzącym“, poprzedzane takimi zachodami słońca, o jakich wyobrażenia mieć nie może, kto ich nie widział, kto ich „czerwienią się nie zachwycał“; ten dobry humor marynarzy arabskich, śpiewających prawie nieustannie, albo ich lekceważenie rzeczywistego niebezpieczeństwa, kiedy, usiadłszy na łopacie, jak na koniu, przepływali Nil, nie bojąc się krokodyli; te noclegi pod gołym niebem, usianem gwiazdami, ta burza nawet, która ich raz zaskoczyła i... omal nie zatopiła: wszystko to, istotnie, jak się wyraził Słowacki, zakrawało na jakieś senne, fantastyczne widzenie, którego obraz nie zatrze się

nigdy w pamięci... Tembardziej, że na tle tego niezrównanego obrazu natury — istnej wizji Edenu — ukazywała mu się chwilami postać Maryi Wodzikiej, której wspomnienie szło za nim krok w krok, nawet tutaj, a było tak silne, że go raz np., kiedy błądził samotnie po piasku nadbrzeżnym, skłoniło do... wypisania wielkimi literami na piasku obok swojego imienia również i imienia Maryi¹⁾, co mu się później — we Florencji — przypomniało podczas pisania W „Szwajcaryi“ i czemu zawdzięczamy te wiersze poematu, w których powiada:

I nie wiem, gdzie iść, i gdzie oczy schować,
I gdzie lzy ukryć, i gdzie być samotnym?
I stoję błądy, i kreślę jej rysy
Lub imię piszę na piasku wilgotnym.

To samo uczucie natchnęło go także do napisania teraz na Nilu wiersza *Do*, w którym zwraca się myślą do Maryi, a który począł kiem swym przypomina trochę napisane niegdyś w Veytoux *Rozłączenie*:

Kiedy smutny nad Tella siedziałem jeziorem,
Ty przyleciałaś do mnie z dalekiej krainy.
Jak przywabiony gołąb białością smutnego
Ptaka na pustym domie, i długo nas ludzie
Widzieli nad jeziorem dumających razem,
Nie wiedząc, żeśmy w toniach błękitnych szukali
Gwiazdeczki szczęścia, bardzo dawno utraconej...

Wspomnienie owych dni szczęścia, spędzonych w Szwajcaryi z Maryą, miało być w ciągu tej Słowackiego podróży po Wschodzie jak owa wstążka niebieska, którą widział nieraz wplecioną w warkocz swej „czarnobrewej panielki.“ Niestety, „na zwierciadło marzeń ktoś chuchnął i zamglił słońce.“ Tym kimś była Eglantyna Patteq, która mu doniosła o zamążpójściu panny Wodzińskiej, swojej rywalki... Może dlatego wspomnienia Eglantyny nie grały w tej podróży Juliusza żadnej roli?

Tymczasem, dnia 19-go Listopada zatrzymano się w mieście Denderah, słynnem ze swoich ruin, największych po piramidach. Tutaj też, prawie niespodziewanie, nastąpiło spotkanie ze Stefanem i Alexandrem Holyńskimi²⁾. Ledwo przybyli do Denderah, dowiedzieli się od miejscowej straży (bo za przybyciem do każdego miasteczka lub wioski, pokazywali przedewszystkiem *firman* Baszy³⁾), w który ich zaopatrzył konsul w Kairze, a który Arabi z największym uszanowaniem, powiada Słowacki, odczytywali) dowiedzieli się, że jakieś łódki cudzoziemskie są w pobliżu. Usłyszawszy to, Słowacki, wziął fuzyę na ramiona — bo bez broni ruszać się tu ani na krok nie było można — i puścił się z jednym drabem naprzód, łódka, która płynęła wolniej, wzdłuż brzegu, ażeby się mieszkańców sąsiedniej wioski o owych cudzoziemców wypytać. Po godzinie drogi ujrzał z daleka, w jednym z kanałów nilowych, dwa pawilony i dwóch młodych mężczyzn, w europejskich ubiorach, na piasku. Poznaawszy w jednym z nich Alexandra Holyńskiego (starszego jego brata, Stefana, nie znał) począł pędem biec ku nim. W tejże chwili młodszy Holyński, spostrzegłszy go i poznaawszy, również zaczął biec na jego spotkanie. Skoro się uściskali i powita-

li, „dumni ze spotkania się na tej ziemi cudów“, i kiedy Holyński przedstawił Słowackiemu brata swojego, Stefana, bardzo sympatyczne czyniącego na pierwszy rzut oka wraże ie, nadpłynęła łódź z Zenonem, którego już Arab uprzedził był o spotkaniu się poety z tymi, których od chwili wyjazdu z Kairu szukali; poczem, po pierwsz j gorączkowej wymianie słów, służącym powierzywszy straż łódek, już wszyscy razem, weseli i szczerze uradowani tem spotkaniem, ze strzelbami na plecach, udali się do oddalonej o kilka wiorst osady Denderah, na obejrzenie ruin. O ogromie ich, przechodzącym wszystko, nie mieli najmniejszego wyobrażenia; chodzili więc, jak powiada Słowacki, pomiędzy temi olbrzymimi kolumnami (tu niechaj sobie czytelnik wyobrazi dekoracyą z pierwszego i z ostatniego aktu *Aidy*) jak odurzeni, znajdując zgodnie, że z pięknnością tych zwalisk nie mogą iść w porównanie ani greckie, ani rzymskie ruiny¹⁾.

Siedząc na kamieniach, w cieni tych ścian o nieprzejranych kolumnach, od góry do dołu ozdobionych różnorodnymi wizerunkami Ozyrysów, Apisów, faraonów, wojowników, kapłanów, i t. d. rozmawiali „z litością“ o wojażerach europejskich, którzy takich cudów wystawić sobie nie mogą; a tych parę godzin, spędzonych pośród rum w Tentyrze, miało taki skutek, że, odchodząc od nich, wszyscy czterej „zamknęli do serca dzień pamiątek tak cudownych“, dzień, który nawet łącząc ich uczucie przyjaźni silniejszym, serdeczniejszym uczynił. Tymczasem słońce zachodziło z wolna, rzucając jakby garści roztopionego złota na ruiny, co im poprostu nadawało jakąś cechą bajeczną, i należało, nie zapominając o tej noczy, pomyśleć również i o tak prozaicznej rzeczy, jak obiad.

Jakoż pamiętali o nim Holyńscy, zapraszając Słowackiego i Brzozowskiego na skromny posiłek do swojej łodzi. Wywdzięczając się za to, Słowacki i Brzozowski, zaprosili ich po skończonym obiedzie do siebie... na poncz; po ponczu zaś, który na humory mógł wpłynąć tylko dodatnio, udano się przy świetle księżyca, który się czarownie odbijał w kanale nilowym, do bliższego miasteczka Kenneh, gdzie między innemi, jak powiada Słowacki, „egipskie Almee otaczały nas wiankami po ulicach, między palmami...“ Ta sentymentalno awanturnicza wycieczka *au clair de lune* do Kenneh utwierdziła ich w przekonaniu — a niemało przyczyniły do tego niezawodnie i owe egipskie Almee — że prawdą jest to, co powiadają ludzie wschodni, mianowicie: że kto raz tamtego powietrza zakosztował, ten, jeżeli może, copędzej powraca do niego, pomimo wszystkich niewygód ciągłej podróży: takie tam, w porównaniu z europejskiem, „dziwne i lekkie życie...“

Niestety, czas naglił i trzeba było się rozstać: Holyńscy bowiem, którzy wracali już z katarakty, płynęli do Kairu, kiedy oni jechali dopiero do niej. Dla tego, choć z nieklamany smutkiem, o godzinie 1-ej po północy, powiedziano sobie: „Do widzenia w Kairze!“ — poczem rozjechali się, jedni w jedną, drudzy w drugą stronę. Łódzie Holyńskich, jako płynące z biegiem wody, oddalały się szybko, rozbrzmiewając wesołym śpiewem majtków; okręcił tymczasem Brzozowski i Słowackiego, jako mający prąd rzeki przeciwko sobie, posuwał się wolniej znacznie; po jakimś czasie stracono się wzajemnie z oczu i słysząc było tylko równomierny plusk rozbijanej wioślami fali, która, wysrebrzona światłem miesięcznym, mieniła się, jak roztopione srebro²⁾.

Z Denderah, po całonocnej podróży Nilem, podróży wśród tylu świetnych gmachów, ruin, świątyń, pomników egipskich, że aż oczy bolały od ciągłego patrzenia, a głowa oł nadmiaru wrażeń, ujrano pierwszą kataraktę pod Siene (Assuan). Z tej części wycieczki, która

należała do najciekawszych, nie czuł się Słowacki na siłach zdać w liście do matki pisanym szczegółowej relacyi. Opisywać wszystkich wam gmachów, pisał, niepodobna; wojaż jaki lepiej to uczyni, jak list krótki. W każdym razie, dodaje, miło mu było polować na piaskach, rysować szkice pomników, gmachów, chatek, dumać i myśleć o tem, że się jest w Egipcie, że się coraz-to inną ogląda miejscowość, dawne pałace faraonów, ich letnie rezydencye, ich grobowce, a wszystko przy najpiękniejszej pogodzie, w pełnem słońcu, *en plein air* albo też — na czem starożytnie ruiny zwłaszcza zyskiwały — w romantycznym oświeceniu księżycowem.

Przyjechawszy do katarakty, wzięli na dzień jeden osiołki i ruszyli, objeżdżając Nil, do Nubii, aby tam — oprócz czarnych mieszkańców tej krainy — obaczyć wysepkę Philae, jeden z cudów ziemi egipskiej. Niedarmo też dawni Faraonowie mieli tu swoją letnią rezydencyą! Ruiny, z tych czasów pozostałe, a bardzo dobrze zachowane aż po dziś dzień, wprawiły Słowackiego w zachwyt. Oglądał je w dniu 26-go Listopada.

W trzy dni później, w same imieniny matki, o których, powiada, bardzo pamiętał, zbliżał się już z powrotem do Teb, na których obejrzenie (a jest tu co widzieć, ruiny bowiem tego miasta przechodzą *wszystko* ogromem) poświęcił cały następny dzień 30-go Listopada. Jak sam zapewnia w jednym ze swoich listów, najbardziej podobala mu się statua Memnona i druga, przy niej stojąca. Wyrysował je nawet w swoim szkambuchu, w chwili, kiedy słońce zachodzi pomiędzy nimi i kiedy te olbrzymie granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzące cicho na ogromnem polu, z twarzami obróconemi na Wschód, zdają się ożywiać... „Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy; jeden z tych przed wiekami zmarłych wojażerów napisał na granicie: „słyszysz Memnona“; i słowa te w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka“, pod tym biednym człowiekiem rozumiał Słowacki... siebie, o reflexach zaś, jakie w jego duszy obudził ten granitowy posąg Memnona i ten na nim przed wiekami wyrity podpis Rzymianina, daje niejaki wyobrażenie następującej, tutaj, w Tebach, pod wrażeniem ruin, napisany wiersz, którego początek przypomina monologu Hamleta, a zakończenie nastrojone jest na nutę „Hymnu o zachodzie słońca na morzu“.

Cześć dla ciebie nskiego tutaj wojownika.

Walka jest wieczną? Czyliż dni człowieka

Nie są na ziemi, jak dni najennika?...

A jako sługa odpoczynku czeka,

A robotnik czeka swej zapłaty,

Tak mnie miesiące, co przynoszą straty.

Daleś, o Boże, i stroskane noce!

A gdy położę się, myślę o wstaniu,

I myślę tylko o prędkim świtanu,

I pytam, kiedy słońce zamigoce,

A skórę moją robactwo już stacza,

I proch jest na niej, i w kawały pada...

Niemniej smutne myśli przychodziły mu do głowy, kiedy stał przy obelisku Luxoru, „który także teraz samotny — jak on — zdaje się tęsknić po swoim rówieśniku, „wydartym z rodzinnej ziemi i przeniesionym świeżo do Paryża. Więc i wieże z granitu jednego wykute rozdzielają się i idą na wygnanie. Ludziom, co mają nogi na to, aby się błagać po świecie, trzeba się pocieszać, patrząc na ten obelisk...“¹⁾. Izdawało mu się, że jedną można tylko z pomników tych „wyssać“ naukę: o próżnościach światowych. Marność nad marnościami i wszystko marność: to ostateczna kon-

¹⁾ Oto, co poeta sam zanotował w czasie swej podróży Nilowej: „Na Nilu, d. 6-go Listopada w Kairze, Szarfa Nilu. Palmy. Księżyc późno wschodzący. Wieczór. Z jednej strony czerwien zachodu, z drugiej dwa sępy na białej skale. Polowanie na piasku nad brzegiem rzeki. Południe. Skwar pustyni. Żorawie i bociany krzyżącym stadem siadają opodal. Myśl ewangelii Wababitów. *Piszę imię swoje na piasku i drugie imię* (Juliusz—Marya) Zabicie dwóch gołębi pod wioską palmową pijących wodę. Siut. Łódź pełna modlących się Arabów etc. Zob. *Bibl Warsz.* 1891, IV, 343.

²⁾ Listy, I, 255.

³⁾ Ibidem, I, 256.

¹⁾ „Grecja pełna ruin przeudownych, podobala mi się bardzo i bardziej, niż Rzym mię zachwycała. Egipt zatarł Grecyą w mojej pamięci i nie cudowniejszego nad ruiny nad Nilem będące.“ Listy I, 3.

²⁾ Listy I, 18, 19.

¹⁾ List z Florencji, z 24 Listopada 1827. (t. II str. 18).

kluzya wszelkich dumań. Wszystko mija, wszystko się kończy... rozłąka, wszystko jest podobne, ot, do tych żorawi, na które patrzył w tej chwili: jeden się porwał i wszystkie za nim poleciały długim szeregiem w błękit, i wkrótce jęku ich nawet słyszeć nie było ¹⁾).

W takim uczuciu opuścił Słowacki Teby, i począł zdążać z powrotem do Kairu. Przestrzeń tę, ponieważ posuwano się teraz z biegiem rzeki, odbyto znacznie prędzej, aniżeli w tamtą stronę; tak, iż 10-go Grudnia ujrano znów trójkątne sylwety piramid i minarety Kairu, gdzie, z niecierpliwością wyczekiwani przez Hołyńskich, obiecywali sobie conajmniej tak przyjemnie kilka dni razem spędzić, jak niedawno temu owych kilkanaście godzin w Denderach i Kenneh... Na nieszczęście, Brzozowski nabawił się na Nilu silnego zapalenia oczu ²⁾ i musiał się leczyć u doktora-rodaka, który mu przedewszystkiem zalecił siedzenie w domu przez cały dzień, ażeby nie narażać wzroku na zbytne stykanie się z blaskiem słonecznym. Słowacki był zdrow, jak ryba. Nie czuł się nawet zmęczonym czterdziestodniową, równie przyjemną, jak męczącą, podróżą wodną. Hołyński także nie zbywało na zdrowiu, humorze i najszczerzych chęciach używania rozkoszy wschodniego życia, bardzo więc byli za tem, ażeby tych kilka dni, które miano jeszcze w Kairze dla odpoczynku zabawić, nie stracić na próżno, ale o ile możności wychylić czarę przyjemności aż do ostatniej kropli... Jakoż nie zaniechano niczego, ażeby się zabawić; a jak się bawiono, o tem świadczy najwymowniej fakt, że młody Hołyński z tych awanturnicznych wycieczek do siódmego nieba Mahometa... nie wyszedł cało ³⁾. Traf zrządził, że jedna z hurys, jakaś arabska almea, potrafiła go urokiem swoich wdzięków tak silnie przykuć do siebie, że postanowił pozostać się z towarzyszami i zostać w Kairze przy swojej odalisce. Nie zdążył się na nic perswazyje brata i przyjaciół: objęły się o jego szaloną miłość, jak groch o ścianę. Widząc to, starszy Hołyński, nie chcąc brata zostawiać samego, zaniepokojony tym jego erotyzmem, postanowił zostać przy nim i mieć nań oko... Słowackiego i Brzozowskiego prosił, ażeby się nimi nie krepowali, tylko jechali naprzód: oni ich tu dogonią.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻ NA KSIĘŻYC

przez

C. hr. von Wartensleben.

(Dokończenie).

Wnętrze olbrzymich wulkanów ma zupełnie charakter wielkich kraterów ziemskich. Takich olbrzymich kraterów składających się z wieńca gór naliczyć można na księżycu około 2.000, ale liczba mniejszych, których średnica przenosi 300 metrów, dochodzi do 2.856, kratery zaś mniejszych rozmiarów widziałem niezliczone. Powierzchnia księżycy jest literalnie zasiana wulkanami; obok wyraźnych kraterów występują węzły górskie, przestrzenie otoczone wałem podobne z postaci do wulkanów, ale bez centralnych wzniesień, wyrzucających lawę. Otaczają one niekiedy obszerne przestrzenie, przypominające czeskie płaskowzgórza, które zresztą nie z nimi wspólnego nie ma. Wśród tego świata kraterów ciągną się płaszczyny zajmujące większą przestrzeń,

że zaś przerywane są tylko małemi nierównościami, drobnymi pasmami gór i kraterami, uważając je za dna dawnych mórz księżycowych i nadając im nazwę *mare*. Największa z tych płaszczyn, *oceanus procellarum* (ocean burz) rozciąga się na 90.000 mil geograficznych. Odosobnione stożki bez kraterów i całe łańcuchy gór spotykają się rzadziej, niż wygasłe kratery. O niezwyklej gwałtowności ruchów wulkanicznych świadczą jeszcze błyszczące w słońcu drogi, które łączą często kilka wielkich kraterów i przechodzą niekiedy w wąwozy ćwierć mili szerokie i mające do dwóch mil głębokości. I to były prawdopodobnie z początku pęknięcia, wypełnione później aż po brzegi przez płyn gorący. Płynna masa odbija światło silniej tam, gdzie zastęgiła później; słabiej błyszczy dawniejsza powierzchnia księżycy. Strony księżycy odwróconej od ziemi nie widział przedemną żadne oko ludzkie i o tej nie mówić nie chcę, dopóki nie uda mi się zadziwić uczonemu światu uzupełnieniem wielkiej karty księżycy Mädlera.

Księżyc pokryty jest śladami dawniejszej działalności wulkanów, dziś jednak wygasłej przez ochłodnięcie tego ciała niebieskiego. Czy i księżyc rozpeknie się kiedyś i czy wtedy odłamki jego, jak dziś meteoryty, błędzić będą po przestrzeni, rozdzielając się pomiędzy inne ciała naszego systemu słonecznego?

I ziemia zbliża się do stanu księżycy. Ziemia i księżyc, okrom wszystkich innych ciał naszego systemu, rozwinęły się z tej samej kuli gazowej, która z powodu skupiania się cząsteczek masy koło jednego punktu środkowego rozpalila się, dlatego, że ruch przemienia się w ciepło i światło. I teraz teleskop ukazuje nam ciała niebieskie w tem studium tworzenia się. Przez promieniowanie ciał w przestrzeń nastąpiło ostygnięcie gorących gazów, przejście ich w stan płynny, a wreszcie zupełne stężenie. Ten proces ostygnięcia musiał w małych ciałach postępować prędzej, niż w większych. W taki sposób słońce dziś jeszcze wysyła wielkie ilości ciepła z gorącej atmosfery gazowej, która je otacza, a prawdopodobnie ma już rozgrzane i płynne jądro. We wnętrzu ziemi jądro, jak przypuszczać należy dawno już zastygnać musiało, otaczając ją gorącą i płynną atmosferą, którą objaśniamy zjawiska wulkaniczne, wreszcie następuje cienka, zwierzchnia powłoka zakrzepła. Księżyc, którego masa równa się 50-ej części kuli ziemskiej, jest już zupełnie oziębionym, nieożywionym żuzlem, na którym panuje grobowa cisza, gdyż nawet przemiany, tak częste i żywe na ziemi, tam odbywają się nieznacznie z braku atmosfery i wody.

Prawie nie ulega wątpliwości, że nie brakło niegdyś na księżycu atmosfery podobnej do ziemskiej, a więc i wody. Myśl ta nasuwa się choćby z powodu wspólnego i jednoczesnego niemal z ziemią początku. Nie możemy sobie również wyobrazić gwałtownych wybuchów bez prężności pary wodnej, którą poprzedziło działanie ognia. Ogień zaś, przynajmniej nasz ogień, nieczem innym nie jest, jeno działaniem chemicznego łączenia się tlenu, który stanowi piątą część powietrza atmosferycznego, z jakimś innym palącym się gazem, zwykle z węglem.

Istnieją prawdopodobne hipotezy, objaśniające zniknięcie atmosfery powietrznej i wody. Reiher w dziele swem tłumaczy brak tych warstw w taki sposób, że zostały one wessane przez mineralną substancję księżycy przed ostatecznym jego ochłodnięciem.

Pierwszy Sämann wykazał prawdopodobieństwo podobnego stanu ziemi w przyszłości. Według trafnych obliczeń Fouriera ochłodnięcie ziemi zaszło już tak daleko, a ogień wewnętrzny cofnął się o tyle w głąb, że jest on w stanie podwyższyć temperaturę na powierzchni ziemi zaledwie o 25-tą część stopnia Celsjusza, jakkolwiek wysoka byłaby temperatura we wnętrzu. Niemniej ciepłota ziemi wystarcza, aby wodę, znajdującą się w znacznych głębinach, zwrócić atmosferze zamienioną w parę. Z postępującym cofaniem się ognia wewnętrznego — i na to zwraca

Sämann uwagę — woda przesiąkać musi coraz głębiej aż wreszcie pozostanie w ciele ziemi, to jest pochłonięta będzie przez jej części stałe.

W najwcześniejszych okresach rozwoju ziemi bezwątpienia z ochłodzeniem się temperatury przybrały stałą formę te ciała, które do przemiany w stan gazowy potrzebują najwyższej ciepłoty, wreszcie woda z postaci pary przeszła w stan kroplistej cieczy.

Tak samo przyjdzie kiedyś moment, w którym ocean gazowy, otaczający obecnie kulę ziemską, zostanie przez nią wessany, a ziemia znajdzie się w takim samym stanie, jaki dostrzegamy dziś na księżycu, gdyż wskutek jego mniejszej objętości dokonało się szybciej jego ochłodzenie.

Podobnie do wo dzy Cotta w swej „Geologii te-
razniejszości“.

Niewątpliwie ziemia znajduje się obecnie, a jak się zdaje również i kilka innych planet, w wieku siły, w rozwoju postępowym, we wzrastającej różnorodności życia, i nieobliczone okresy czasu dzieli ją od cofania się na tej drodze. Wreszcie jednak i ziemia obok wszystkich innych planet, a nawet słońca — to na ostatku, bo jest największym ciałem — podzielić muszą los księżycy.

Wszystko, co wiedza, na podobieństwo umysłowego teleskopu, wydobyła z tajemniczej przeszłości i przyszłości, ukrywa się w pierwszym i zasadniczym prawie natury: „Niech się stanie!“ Nigdy nie nastąpiło po niem drugie: „Niech zostanie!“ „Niech trwa!“ Ciągłe nowe stawać się musi. Każdy stan zarówno w organicznym jak i w nie-organicznym świecie jest tylko oddziaływaniem przeszłości i przygotowaniem do tego, co będzie.

Czas jednak nagli do powrotu. Nie potrzebuje szukać ojczyznej planety w przestrzeni, gdyż ziemia ma 13½ razy większą powierzchnię niż księżyc a z powodu swej bliskości wydaje się od słońca większą. Sama ciemna, świeci ona, jak księżyc, pożyżczanem światłem słońca, ale blask jej jest 13-cie razy silniejszym od blasku, jaki się z księżycy mieszkańcom ziemi dostaje. Ponieważ księżyc i ziemia, sąsiadując ze sobą, złączone są niby wspólną osią, przeto dla księżycy, który nie obraca się koło swej osi, ziemia nigdy nie wschodzi i nie zachodzi, stojąc nieruchomie zawsze na tem samym miejscu. Nie bierze udziału w ruchach innych gwiazd, które dla księżycy, co dni czternaście lub piętnaście, wschodzą i zachodzą. W pośrodku strony księżycy zwróconej ku ziemi obserwator miałby ziemię zawsze ponad głową, a tylko ruch obserwatora, zwrócony ku brzegowi tej połowy księżycy, sprawia wrażenie jakoby ziemia nachylała się ku jego horyzontowi.

Potężna planeta króluje w majestatycznym spokoju, a przed nią przechodzą powoli wszystkie gwiazdy co 14½ dni. W taki sposób, jeżeli istnieli kiedykolwiek mieszkańcy księżycy, to uwielbiali ziemię jako najwyższe bóstwo, jak dawniejsi mieszkańcy ziemi uwielbiali słońce. Wszystkie cywilizowane ludy ziemi, z wyjątkiem żydowskiego, wielbiły ziemię jak bóstwo, a mieszkańcy księżycy nie mieli powodu być pozytywniejszymi od ziemian.

Jak samopoznanie jest najtrudniejszym zadaniem człowieka, gdyż blizkie ja mać jego sąd, tak minąć musiały długie wieki zanim doszliśmy do dzisiejszego stanu wiedzy o kształcie różnych części naszej ziemi, o podziale lądów i mórz, dotąd nie jeszcze nie wiemy o lądach i morzach położonych na biegunach, a wnętrza Afryki i Australii pozostają dla nas niedokładnie znanymi.

Tymczasem astronomowie utrzymują, że dzięki niewielkiej odległości księżycy od ziemi lepiej znają jego topografię, aniżeli najlepszy geograf znać może którąkolwiek część ziemi, jakkolwiek szczegółów mogą tu być lepiej zbadane. Żadna karta kuli ziemskiej nie ukazuje z równą pewnością stosunku wyżyn i nizin, jak czyni to obraz

¹⁾ List z Floreny, z 21 Sierpnia 1837 (t. II str. 9).

²⁾ Listy I, 253.

³⁾ Listy II, 6.

księżycą w teleskopie, przez który rozpoznać możemy rozmiary do 300 metrów. Musi to być prawda, bo i ja rozpoznałem wyraźnie z księżycą wszystkie morza i lądy ziemi. Gdy ziemia błyszczała w słońcu południowym, ujrzałem Azję, jej daleko wysuwający się półwysep Europą zwany i Afrykę w jasnym oświetleniu, a te masy lądu otoczone były ciemnymi głębinami morza. Ujrzałem Berlin z jego średnicą długości mili geograficznej przeszło i wydał mi się nieco większym niż obserwowany z ziemi Uran. Po dwunastu godzinach ziemia, obróciwszy się koło swej osi, ukazała mi stronę przeciwną, Amerykę i wyspy oceanu południowego. Podczas kiedy wszystkie części ziemi przeszły przed moimi oczyma jak powolnie obracająca się panorama, objąłem odrazu okiem wszystko to, czego Fenicyanie, Henryk Żeglarz, Bartłomiej Diaz, Vasco de Gama, Kolumb, Cook, Magellan, Ross, Eryk Nordenskjöld i inni dowiedzieli się w swych uciążliwych podróżach.

Ponieważ widziałem również i bieguny ziemi, i wnętrza Afryki i Australii, znalazłem się więc w tem szczęśliwym położeniu, że udało mi się poprawić i uzupełnić wiele części karty ziemskiej. Tak rozkosznem wzruszeniem przejęty, budzę się z pięknego snu,—gdyż sen-to zaprowadził mnie na planetę, ku której tyle razy tęsknie spoglądałem.

Z bieżącej chwili.

— Ministeryum skarbu ustanawia szczególną kontrolę nad zakładami wyrabiającymi materiały wybuchowe.

— Ogłoszonem zostało w dziennikach petersburskich nowe prawo uchwalone przez Radę państwa, dotyczące zmiany artykułu kodeksu cywilnego, który to artykuł zwalniał pewne towarzystwa przemysłowe od obowiązku zaopatrywania się w świadectwa handlowe. Nowa redakcyja prawa nakazuje, aby wszystkie towarzystwa tak akcyjne jak udziałowe, zorganizowane dla celów handlowych lub przemysłowych, zaopatrywały się we właściwe świadectwa.

— Ogólne zebranie ofiarodawców i protektorów Muzeum rzemiosł odbyło się w poniedziałek d. 5 lutego.

— Sprawa przeniesienia szpitala Dzieciątka Jezus na folwark Świętokrzyski została załatwiona. Kompania francuzka otrzymała to przedsiębiorstwo.

— Zarząd Towarzystwa Ogrodniczego, upoważniony przez ogólne zebranie do użycia kapitału 2.000 rs. na pierwsze potrzeby urządzenia nabytej siedziby, zajmie się najpierw przeróbką głównej sali, aby w niej odbywać się mogły posiedzenia sekcji. Kommissya przystąpi z wiosną do koniecznego uporządkowania ogrodu Bagateli, zajmującego przestrzeń o bardzo łagodnych spadkach z sadzawką, przy której kilka sztucznych wzniesień zużytkowano na altany. Drzewostan pod względem wieku i rozrostu drzew jest bardzo piękny, są to klony, wiąz, jesiony i kasztany.

— Premium dla członków Towarzystwa Sztuk Pięknych po nadejściu do Warszawy będzie wydawane natychmiast. Jest to album złożone z pięciu reprodukcji belgiograficznych.

— W salonie artystycznym na Nowym-Swiecie wystawił p. Fr. Żmurko obraz większych rozmiarów wyobrażający kobietę uśpioną.

— Na wystawę Tow. Sztuk Pięknych przybyły świeżo następujące utwory: „Z rozkazem“ J. Rozena, „Paryżanka“ Anieli Biernackiej, „Portret“ St. Grochowskiego, Natalii Andriolowej dwie rzeźby z terrakoty „Dyabełek“ i „Kęs chleba“, Tytusa Malszewskiego „Pan sędzia“, Michała Wywiórskiego „Z polowania“, Fran. Kostrzewskiego „Państwo ekonomstwo“ Józefa Puacza „Tancerka wschodnia“.

— Komitet Tow. Muzycznego, zajmujący się sprawą wzniesienia pomnika dla Szopena w Żelazowej Woli odbył już dwa posiedzenia; na ostatniem uchwalono powierzenie robót częściowych kilku zakładom wyrobów żelaznych. Niektórzy z przedstawicieli tych firm znajdowali się na posiedzeniu; p. p. Markoni, Zieleziński i inni zgodzili się wykonać roboty po cenie kosztu. Pomnik będzie wykonany w ciągu wiosny. Panna Jonatówna wykończyła studium o pracach Szopena.

— Dwie książeczki, przedruki z „Gazety Świątecznej“, wyszły nakładem księgarni krajowej K. Prószyńskiego. Jedna, pióra J. Grajnera, pod tytułem „O sławnym rycerzu, o giermku Słowaku i jego ukochanej“ przenosi czytelnika w czas rycerstwa i gorącej wiary. Występuje tu postać Piotra pustelnika, postać Godfryda. Takie zajmujące, wyobraźnię czytelnika rozbudzające powieści ludowe będą zawsze poczytne, bo otwierają mu horyzonty szersze, niż powszednie jego życie. Na podstawie wypadków dziejowych rozgrywa się dramat miłosny: słowackiego wojaka, Stefana Galasa i Marty Kłobukówny.

— Czynności przygotowawcze do wysłania w lecie dzieci na kolonie letnie już się rozpoczęły. Wszyscy lekarze warszawscy otrzymali odezwę z zapytaniem, czy zechcą i w jakiej porze przyjmować dzieci w celu zaopiniowania jakim jest stan ich zdrowia i czy potrzebują wyjazdu na wieś, lub do Ciechocinka? Biuro zapisu wstępnego i zawiązywania z kolei co do wysyłki na kolonie już się ukonstytuowało, do składu tego grona wejdzie dwunastu lekarzy, którzy czynność tę dobroczynną spełniali już w roku przeszłym; do pomocy im stanie grono pań dobrego serca. W tym roku ściśle sprawdzony będzie stan możliwości rodziców, których dzieci zapisywane są na wyjazd, aby uniknąć wyzysku; ofiary umożliwiające ów wyjazd już napływają; dary w materiałach tu potrzebnych składają się na ręce komitetu, garbarnie i warsztaty szewskie biorą tu udział znaczny. Kapelusze już się tu plotą i szyją, słomy odpowiedniej dostarczyli p. p. Dernałowicz z Nowo-Mińska i prof. J. Kosiński z Lesznawoli, firmy handlowe w Łodzi i Warszawie utworzyły kredyt i zapewniły znaczny rabat na towarach, Szeiblerowie jak corocznie ofiarowali rs. 300, drukarnia Kowalewskiego przychodzi tu z wielką pomocą, p. p. Natansonowie właściciele papierni w Jeziornie ofiarowali papier potrzebny na druki i karty.

— W Lublinie otwartym zostanie dom zarobkowy, urządzony na wzór warszawskiego z przytułkiem noclegowym i tanią kuchnią.

— Warszawska Rada miejska dobroczynności

zakupić maza sumę 90 000 rs. posessją z obszernym ogrodem na szpital zapasowy. Rada upoważniła p. Nowakowskiego, radcę prawnego, do sporządzenia aktu rejchthalnego, mocą którego posesję ta przejdzie na własność rady miejskiej dobroczynności z przeznaczeniem na stały szpital choroób zakaźnych.

— Budowa kościoła Ś-go Boromeusza nie może być wykończoną bez powiększenia funduszu, preto nadzór kościolny wystąpił do zarządu miejskiego o pozwolenie zbierania składek w obrębie kościoła i na cmentarzu powązkowskim.

— W kwietniu bieżącego roku ukaze się w druku dzieło o Szopenie i jego pracach ułożone i wydane przez znaną i wysoko cenioną pianistkę p. Janotównę, dedykowane księżniczce angielskiej Beatrixy. Książka ta mieścić będzie kilka odczytów o zrozumieniu ducha utworów Szopena, oraz „Metodę nad metodami“ dla gry fortepianowej, skreślonej przez Szopena, i którą p. Janotówna wydobyla z zapomnienia.

— Na Posiedzeniu krakowskiej rady miejskiej odbytem d. 29-go Stycznia, hr. Andrzej Potocki ofiarował plac przy ulicy Ś-go Marka na budowę kasyna miejskiego.

— Zarząd budowy we Lwowie gmachu uniwersyteckiego został uprawniony przez rząd do pomieszczenia tam zakładów anatomii opisowej, fizjologii i historii. Budowa wraz z urządzeniem wewnętrznem kosztować będzie 230.000 złr. Gmina miasta daje pod budowę plac darmo, dodając 30.000 złr. Resztę ma pokryć skarb Państwa.

— W Pradze na wyborach klubu polskiego powołano ponownie na prezesa p. Mieczysława Twardowskiego, zastępcą został p. Oskar Ehaust, sekretarzem Jan Matuska, skarbnikiem Wiktor Bienenwald, bibliotekarzem Aloizy Brzeżkowski, gospodarzem Józef Izdebski. Do wydziału weszli pp.: Henryk Marek, Bazyli Medlicki i Fr. Dąbrowa, na zastępców pp.: Gabriel Pruger, Adam Buczyński, Józef Góral, na rewidentów pp.: Władysław Trekaz i Emil Halder.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie na żądanie otrzymać mogą bezpłatnie początek powieści

Z biegiem fal,

której druk w roku zeszłym się rozpoczął.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Tom II, ark. 2-gi powieści pod tytułem: **Z biegiem fal**, przez M. Braddon, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Dr Antoni Józef Rolle. Notatki pedagogiczne. — Pierwszy występ nowella Sewera (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Juliusz Słowacki w Egipcie, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg). — Podróż na księżyc, przez C. hr. von Wartensleben. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi T. II, **Z biegiem fal**, powieść, przez M. Braddon. — 42 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. Dyspozycya stołu.